

PĘDREK W KRAINIE CZARÓW

Wydaną w 1950 roku książkę napisał Stefan Themerson, a zilustrowała jego żona Franciszka. Utwór ukazał się w założonym przez nich wydawnictwie Gaberbocchus Press, co jest o tyle ważne, że zdradza źródła inspiracji. Gaberbocchus to łacińska wersja Jabberwocky, smoka znanego z wiersza Lewisa Carrolla. Alicja w krainie czarów jest Pędrka Wyrzutka wzorem językowego humoru – z łatwością rozpoznamy metodę szukania w potocznym języku niekonsekwencji i nielogiczności. *Wytłumacz się. Nie mogę się wytłumaczyć, bo nie jestem sobą* – to dialog Alicji z Panem Gąsiennicą, ale równie dobrze mogłaby to być rozmowa Pędrka z Wielbłądem o dziwnym imieniu Ach Aha Oho.

Pędrak jest dziwną istotą, trochę człowiekiem, trochę psem, trochę rybą, trochę ptakiem. Takie Brzydkie Kaczętko, które nie wiem, kim jest. Wyrusza więc w podróż, w której różnym mądrym ludziom zadaje pytanie o to, kim jest. Jesteś tym, co jesz. Jesteś tym, czym będziesz. Jesteś tym, co osiągnąłeś. Pędrak na razie wiele nie osiągnął – napisał tylko wiersz. Jeśli wiersz zostanie uznany za udany, do Pędrka będą się przyznawać i ludzie, i psy, i ryby. Jeśli wiersz nie zostanie doceniony, nikt nie będzie się przyznawał do autora. Na szczęście to tylko jedna z prawd, jakich bohater dowiaduje się podczas podróży od rozdziału do rozdziału.

Właśnie od rozdziału do rozdziału, bo zarówno książka, jak i przedstawienie mają rozbudowaną warstwę metaliteracką. Jak cała awangarda – są autotematyczne. Na scenie widzimy dwoje aktorów (Danuta Kołaczek i Krzysztof Ciesielski) w białych kitlach, którzy pracują w laboratorium wyobraźni. To oni stwarzają postać (lalkę) Pędrka, to oni ją później animują. Na koniec okazuje się, że to Themersonowie – autorzy i narratorzy opowieści.

Już po tych kilku uwagach widać, że nie jest to przedstawienie łatwe. Teatr określił wiek adresatów na 9+ i trzeba przyznać, że jest to ambitne założenie. Ja bym tę granicę trochę podwyższył, jeśli chodzi o przekazywane treści, a jednocześnie trochę obniżył, jeśli chodzi o formę. I tu jest największy problem z przedstawieniem Ewy Marii Wolskiej – nie do końca wiem, dla kogo jest ono przeznaczone. Gra aktorów, sposób mówienia, animowania lalek, a nawet ustawienie widowni (poduszki leżące na podłodze przed pierwszym rzędem) sugerują bardzo młodego odbiorcę, ale w przedstawieniu niewiele się dzieje. To ciąg dowcipnych, filozoficznych rozmów, ładnie oprawionych scenograficznie. Dialogi w rodzaju: - *Chciałbym zapytać, kim jestem.* - *To nie jest pytanie, to stwierdzenie* są dla małych dzieci za trudne, zwłaszcza, gdy taka logiczna gimnastyka trwa godzinę. Myślę, że młodym realizatorkom (przedstawienie jest dyplomem reżyserki na Wydziale Lalkarskim Akademii Teatralnej w Białymstoku, scenografia Aleksandry Starzyńskiej to jej teatralny debiut) trochę zabrakło doświadczenia w pracy z dziećmi.

Dorośli potrafiący docenić inwencję w tworzeniu lalek i budowaniu przestrzeni scenicznej znajdą tu wiele smaczków. Kapitałny jest pingwin stworzony z magnesów umieszczonych na metalowej płytce – w laboratorium wyobraźni lalką może być wszystko. Można ją zrobić z książki, cyrkla, można też zaaranżować teatr cieni. Oszczędne, często płaskie lalki trudno się jednak animuje, dlatego wielką rolę odgrywa w spektaklu muzyka. Efekty dźwiękowe dopełniają obraz i budują (na naszych oczach? na naszych uszach?) sceniczną rzeczywistość. Na zakończenie odnajdujemy się z bohaterem w teatrze (teatrze w teatrze). To wszystko było grą w szukanie siebie w teatralnej krainie czarów? Puentą jest znakomita animacja Aleksandry Starzyńskiej, ożywiająca rysunki nawiązujące do ilustracji Franciszki Themerson. Roman Polański nakręcił podczas nauki w Szkole Filmowej *Dwóch ludzi z szafą*, obraz bardzo mocno inspirowany filmem Themersonów *Przygoda człowieka poczciwego*. Oby studencka przygoda z Themersonami była dla Ewy Marii Wolskiej początkiem równie błyskotliwej kariery.

